ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Kwietnia 1892. **Nr. 7.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Wiosna.

Wiosna! wiosna!
Wieść radosna
Z ciepłem tchnieniem wiatrów płynie;
I sasanki,
Już na wianki
Rozwinęły się dziewczynie.

Wstaj skowronku;
W złotem słonku
Wykąp piórka twoje szare!
I skrzydlaty,
Nad te chaty,
Nad te ziemie wyleć stare!

Wyleć z pieśnią!
Ludzie prześnią,
Świtu chwilę uroczystą;
Więc do Pana,
Choć ty z rana,
Głos za niwą wznieś ojczystą.

Dobra niwa,
Jak poczciwa
Pierś rolnika, co ją orze:
Tylko trzeba,
By im z nieba,
Przyświecało światło Boże.

Niem ogrzane,
Ziarnko wsiane,
Zdrowym kiełkiem w górę strzeli;
I wnet potem,
Żniwem złotem,
Starą ziemię uweseli.

Leć więc ptaszę!
Prośby nasze
Niech piosenka wzniesie drząca:
Słońca Boże!
Na niw zboże
I dla myśli ludu — słońca!

Marya Ilnicka.

PIOTR WŁAST.

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Domyślić się było łatwo, że pozostała niedaleko na straży.

Petrek dumał chwilę.

— Miłościwy panie — rzekł — nie od siebie ja tu przychodzę, ale ode wszystkich ziem twoich, strwożonych bardzo. Mówią i głoszą a roznoszą wszędzie, że chcecie złamać wolę nieboszczyka ojca, ktorej ja byłem żywym świadkiem. Nie tajno, że wojnę zapowiadacie braciom... Panie miłościwy, przychodzę was błagać, abyście tego nie czynili, przez miłość dla ojca pamięci, przez miłość dla was i dla dzieci waszych...

Książę słuchał jak osłupiały, widać było że się kogoś po za sobą lękał. Wodził oczyma, nie pewien był, co powie.

— Jeżeli się to ziści, czem nam grożą, — dodał Petrek — będziecie mieli, nietylko braci przeciwko sobie, ale ojców pasterzy duchownych i ziemian wszystkich.

Władysław coś niezrozumiale pomrukiwać zaczynał.

— Hm! A któż to te wieści roznosi? — rzekł — kto to wam mówi o tem?

— Na okół wszyscy wiedzą, żeście słali na Ruś o posiłki — odezwał się Petrek.

Władysław głową dał znak potwierdzający. Namyślał się jeszcze. Po za nim stała żona, która go słuchała pewnie. Począł zwolna i ozięble:

— Ale bo, tak jak jest to nie może trwać; nie, nie może. Ja tu sam powinienem być panem... a nie jestem niczem. Panowie bracia się zjeżdżają, radzą, spiskują, chcą mnie wygnać a dzielnicę krakowską zagarnąć.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął gorąco Petrek, — zaprawdę fałsz wam donoszą. Głowę moję stawię na to. Bronić się chcą książęta młodzi, nie napastować, nie wam grozi zagłada, ale im.

Władysław głową wstrząsnął.

— Król ojciec, — odezwał się — nie na co innego dał pierworodnemu Kraków tylko na to, ażeby panował. Ja chcę panować i będę...

Mówił, to co go wyuczono, ale tak ozięble, jakby go niewiele panowanie obchodziło, iż pilno mu było tylko co rychlej nudną dokończyć rozmowę.

— Petrku mój — dodał — dość już tego, dość, ty ze mną, nie z niemi trzymać powinieneś! Rozumiesz, tyś mój!

— Jam wasz! wasz! miłościwy panie — podchwycił Palatyn, — alem wprzódy poprzysiągł ojcu waszemu, że jego woli ostatniej spełnienia będę pilnował i strzegł. Wolą jego było, ażeby każdy z braci na swej dzielnicy spokojnie siedział. Nie narażajcie się, miły panie, na nieszczęście. Biskupi szemrzą i grożą... duchowieństwo mieć będziecie przeciw sobie!

Władysław poruszył się niespokojnie, Petrkowi dał znak ręką, aby zamilkł, a ruch ten był jakiś tak dwuznaczny, iż Palatyn zdziwiony umilkł na chwilę... Nagle zasłona się podniósła, odrzucona gwałtownie i gniewna wbiegła Agnieszka. Nie spojrzała na Petrka, ale na męża.

— Dość tej rozmowy, — zawołała — dość! Z poddanym się mówi jedno: tak chcę! tak ma być! Nie spiera się pan ze sługą! Słuchać powinien podwładny! Kto panuje, ten się nie tłómaczy z tego, co czyni! Dość rozpraw! Uczynicie, co się wam zda, kto nie rad, niech głowy strzeże!

Mówiąc to chwyciła męża za suknię i pociągnęła go za sobą, książę się zwrócił do Petrka, jakby chciał rzec: »Widzisz, żem niemocen? Cóż pocznę?«

Palatyn jak stał, skłonił się milcząc i wyszedł powolnym krokiem. Zaraz w progu drugiej izby spotkał czychającego już nań Dobka, który oburącz się w boki wziąwszy, z góry nań spoglądał i śmiał się usta przekrzywiając półgłosem, tak że Petrek słyszeć mógł, iż

z niego żarty czyniono. A choć człek porywczy, hamować się umiał, gdy trzeba było pogardą zbyć niższych od siebie.

Przez całą drogę do wyjścia, jakby z rozkazu stojąca gawiedź dworska szeregiem, przepuszczała idących przez rózgi złośliwych i obelżywych wykrzyków.

Petrek zdawał się nie słyszeć nic, chciano go, znając, wyzwać i zmusić aby się porwał; Dobkowi ludzie, nasadzeni w znacznej liczbie, byliby go zgnietli i w rozruchu zabili może.

Ale Palatyn ani patrzał na nich, ani chciał widzieć, Jaksę sobie do boku zawołał i głośno z nim mówiąc, głuszył wołania gawiedzi. Dobkowi, jakby go nie postrzegł, ani ruszył głową, minął jak służalca. Wolnym tak krokiem dobił się do ganku, kędy konie stały, a choć hukaniem i śmiechem za nim goniono, ni drgnął, ani okazał, że wie o tem.

I znowu tak samo jak przybył, z orszakiem w porządku, z półkowódzcą na przodzie, ze znakiem, z wspaniałością i powagą, pociągnął ku wrotom zamkowym, głowę pysznie podnosząc do góry. Zjeżdżali z Wawelu, a jeszcze na wałach śmiechy słychać było i wołanie: »Rabów syn! Porabek! Zbój!« itp.

Jaksa bladł, to czerwieniał słuchając. Trudno się było utrzymać nie dobywszy miecza, ano sam Petrek hamował. Babska to sprawa! Ja z babami nie wojuję! Książe tak utrapiony jak ja, niewiem nic. Cierpliwości! przyjdzie godzina, że się tego pomścimy. Dziś nie pora!

Mówił spokojnie a drgał cały na siodle, pot mu się lał z czoła, rozum brał górę, choć w piersiach gniew wrzał straszny.

— Nasz książę nie winien — powtarzał — ja go znam! Ale i niewinni pokutują! Gdy wicher łby zuchwałym dębom zrywa w lesie, padają i pokorne!

Tak miarkując się dojechali na biskupstwo, a Petrek z konia zsiadłszy na ławie spocząć musiał w podwórzu, nim poszedł dalej, tak mu nogi podcięło.

— Niema już ratunku! — szepnął — niema!

Poselstwo spełzło na niczem, i dłużej tu trwać nie było po co. Petrek z rady Biskupa Ruperta postanowił jeszcze duchownych i ziemian zwoławszy, wyprawić ich do księcia, choć sam wątpił, aby i to mogło skutkować.

Nazajutrz szaro jeszcze było, Palatyn spał, gdy Jaksa, który czuwał nad nim, zbudził go. Chłopię jakieś niepozorne przybiegło z Zamku, opowiadając się, że posłane było od księcia. Zadziwił się tajemnemu poselstwu Palatyn.

— Miłościwy pan, przysłał mnie, — szeptało drżące pacholę — ażeby wam oznajmić, że wyjedzie wkrótce na wielkie łowy, a może z tych łowów i do was, do Wrocławia nawróci, abyście się go spodziewali.

Potajemne to oznajmienie, pocieszyło nieco Petrka; rozmyśliwszy się jednak, po odejściu chłopca, który dostał dar książęcy, rzekł sobie w duchu:

— Biada już tam, gdzie się potajemnie przejednywać trzeba, jawnie powaśniwszy z obawy jednej niewiasty!

Na niewiele się łowy przydadzą!... Tegoż dnia Petrek, już na zamek nie zaglądając, z całym swym orszakiem, o białym dniu, pod znakiem po pod wałami zamku przeciągnął, nazad wracając do domu.

VI.

Nazajutrz po odjeździe jął Dobek księciu przy Agnieszce dowodzić, iż Petrek jeden wszystkiemu winien był, że on innych do oporu miał pobudzać, on głową i sprawcą spisków był, czyniąc się ostatniej woli króla Krzywousta stróżem i wykonawcą.

Książę słuchał cierpliwie, ale nie dał po sobie poznać, co myślał. Chwilami potakiwał, to głową potrząsał milczący.

Agnieszka dopomagała w tem marszałkowi, aby Petrka zohydzić i obwinić.

Przez dni kilka nic słychać nie było, tylko te nawoływania przeciwko Petrkowi i namowy do pozbycia się go co najrychlejszego. Książę Władysław milczał ciągle. Dano mu w ostatku pokój, widząc, że ani przeczy ni zezwala. Dobek sam z księżną gotował się wystąpić

przeciwko młodszej braci. Ruś i Połowce mieli już być w drodze, obiecywano ich codzień.

Upłynęło tak dni kilkanaście, jesień coraz chłodniejsza nadchodziła, liście zmrożone opadały z drzew, wiatr zawiewał z północy, książę Władysław, który łowy lubił wielce, może dla tego, że wyjechawszy na nie głową miał spokojną, wybierał się z całem myślistwem swem w lasy. Dobek zawiadomiony o tem, gdy już wszystko było w pogotowiu, wpadł do księcia.

— Miłościwy panie, — zawołał żywo — gdzie tu czas do łowów. Tu nie o łowach myśleć trzeba! Z domu się wam nie godzi oddalać. Każcie ludziom przygotowania te odwołać. Nie możecie jechać!

Władysław spojrzał nań namarszczywszy się.

— Wczoraj mi moi ludzie przynieśli wiadomość, — dodał Dobek — że Petrek ziemian zwołuje i biskupów, że ich tu nasyła na was, aby oni się pokoju i niebezpieczeństwa dla młodych książąt domagali. Ponabechtywał co najznaczniejszych żupanów, wojewodów, duchownych, nie z jednej, ale z wszystkich dzielnic. Tylko co ich nie widać. Wasza Miłość musisz sam tu być gdy przybędą, przyjąć ich i dać surową odprawę, jak należy.



Kazimierz Chłapowski. (Obacz obj. rycin na str. 112.)

Tych wyrazów domawiał Marszałek, gdy weszła księżna prowadząc dwu synaczków swych, a najmłodszego niosąc na rękach. Dzieci swe książę miłował bardzo, na widok ich rozjaśniło mu się lice. Ale nie dla zabawienia go niemi prowadziła je tu księżna, chciała z pomocą ich, widokiem potomstwa męża do śmielszego wystąpienia pobudzić.

— Dobek mówił, co się gotuje na nas! — krzyknęła głośno — kraj cały przeciwko nam podnoszą. Im bez silnej ręki pańskiej, z temi dzieciuchami lepiej, robią co chcą! Ale ta samowola ustać powinna. Patrz na dzieci twe! o ich los idzie!... wyżeną nas z niemi, one kawałka ziemi mieć nie będą! Stańże jako mąż, jak król! stań przy swem prawie!

Gdy to mówiła książę się z synkami bawił, głaszcząc ich po główkach. Starszy go za mieczyk chwytał, młodszy za suknię ciągnął, ten który u księżnej na rękach był dłonie ku niemu rozpościerał śmiejąc się.

Władysław uradowany niemi, zdało się, że nie słyszał nawet, co doń mówiono. Agnieszka oburzona ramionami ruszała.

— Słuchajże przecie! słuchaj! — wołała coraz głośniej, — przyprowadziłam ci dzieci nie żebyś je bawił, ale byś miał litość nad niemi.

Książę podniósł głowę wreszcie.

— Cóż chcesz! co więcej mam czynić jeszcze?

— Odprawić buntownicze poselstwo jak należy...

Księciu coś błysnęło w oczach, i rzekł żywo:

— Odprawię!... zrobię co trzeba! Zdawał się rozgrzany i pewniejszy siebie.

— Wszystko się gotuje, jak było postanowiono; Ruś zjednana, zamki w stanie obrony, ludzie się ściągają, wojnę wypowiem, jeśli się nie poddadzą. No cóż więcej! cóż może być więcej!

— Myślisz, że się strwożeni poddadzą! — przerwała Agnieszka. — Choćby się nawet ukorzyli; na dzielnicach ich zostawić nie można. Co dziś zażegnamy, jutro się wznowi, trzeba raz skończyć! Musisz być sam!

Władysław potakiwał głową. Dobek stojący z boku, chwycił zręczność, aby znów na Petrka podżegnąć.

— Oniby się odrazu poddali i ustąpili dawno — zawołał, — gdyby nie Palatyn Petrek, pierwszy zdrajca, pierwszy wódz do wszystkich buntów. Póki on żyw, nasz pan bezpiecznym nie jest. Tu on króluje a nie książę.

Agnieszka potakiwać zaczęła.

— Łotr! zbój! przeniewierca. — Zgładzić go trzeba, nie dać żyć temu staremu psu, aby nie kąsał.

Władysław dwuznacznie głową potrząsł.

— He! he! — rzekł — pies! Skoro pies ma za sobą całą zgraję, jak mówicie, toć go zgładzić niebezpieczna, bo się na nas psiarnia mścić będzie wszystka.

— E! damy my radę psiarni, byle tego co ją prowadzi niestało! — dodał Dobek.

Na tem się rozmowa przerwała, bo dzieci poczęły wołać do matki, aby do izby z niemi wracała, poszedł niosąc jednego Dobek. Książę Władysław popatrzał za niemi i z westchnieniem ciężkiem na ławę się rzucił.

Walkę z sobą odbywał, bezsilnym się czując. Myśliwstwo zapowiedziane odłożone zostało. Trzeciego czy czwartego, dnia oznajmiono na zamku, że poczty ziemian zewsząd płynęły do Krakowa.

Niczem to było jeszcze, choć Palatyna Wszebora i Ciołków, Biskupa Janika i poczty Korabiów, Łodziów, Dolewów, Grzymałów, Cholewów zapowiedziano, gdy w ostatku dał ktoś znać, że i sam ks. Jakób ze Żnina, Gnieźnieński pasterz najwyższy, przybywał także.

Ten dzierżył w ręku władzę Rzymu i siłę jego, za nim posłuszni szli pasterze wszyscy, na jego powołanie i ziemianie musieli się tam zwracać, kędy wskazał.

Wściekły gniew opanował księżnę, gdy się o tem dowiedziała, a Dobek począł znów swą piosnkę, że i to nie czyją było sprawą, tylko Petrka.

Powaga Arcybiskupa niemal przewyższała książęcą. On stał nad wszystkiemi ziemiami państwa Krzywoustego; gdziekolwiek był, pierwsze należało mu miejsce, przeciw niemu nikt się porywać nie śmiał.

Trwoga padła na zamek, księżna z gniewu we łzach chodziła.

Przez cały dzień jeden wyglądano poselstwa napróżno, na podzamczu stały tłumy, rozbijano namioty, ale oczekiwano jeszcze na resztę panów, którzy ciągle się zbierali. Na zamek nie posyłał nikt. Widać było z wałów pozatykane znaki różne, rozbite obozy, kręcące się tłumy czeladzi, ruch na przedmieściach i w mieście nadzwyczajny, a do księcia nikt się nie zjawił. Dobek posłał na zwiady, przyniesiono mu wieść, że na znaczniejszych żupanów oczekiwano jeszcze.

Na zamku tymczasem przysposabiano przyjęcie wspaniałe, nie aby nakarmić i napoić gości, lecz by ich majestatem pańskim olśnić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Chrystus Pan w grobie.

(Z »Żywota Pana Jezusa.«)

A gdy już był wieczór, (albowiem był dzień przygotowania, który jest przed szabatem) przyszedł mąż dobry i sprawiedliwy, imieniem Józef z Arymatei miasta żydowskiej ziemi, bogaty i zacny senator, który nie zezwolił na mistrza, darował ciało Józefowi. Tedy Piłat kazał oddać ciało. Przyszedł tedy i zdjął ciało Jezusowe.

Przybył też i Nikodem, który był przyszedł w nocy do Jezusa przedtem, niosąc przyprawę mirry i aloes jakoby



Zdjęcie z krzyża i pogrzeb Chrystusa.

Radę i na uczynki ich i który też i sam oczekiwał królestwa Bożego. Ten przyszedł i śmiele wszedł do Piłata i prosił o ciało Jezusowe, przeto iż był uczniem Jezusowym, lecz tajemnym dla bojaźni żydów.«

A Piłat się dziwił, jeśliby Jezus umarł. A wezwawszy rotmistrza, pytał go, jeśli już umarł. I dowiedziawszy się od rotsto funtów. A Józef kupiwszy prześcieradło i zdjąwszy Go związali Go prześcieradły z rzeczami wonnemi, jako jest zwyczaj żydom grześć.

Wszystkie te hołdy oddawane zwłokom naszego miłościwego Pana i Zbawiciela zostały przepowiedziane przez proroka Izajasza. Gdyż mówił: »że grób jego będzie sławny, a spoczynek jego

będzie uzacniony.« Nikodem »książę żydowski« i Józef z Arymatei, »bogaty i zakomity członek Rady,« troszczą się z największem uszanowaniem o zwłoki Jezusa, gdy tymczasem co dopiero przed kilku godzinami dopuszczali się na Nim ludzie najpodlejsi najokrutniejszej złości; wielką ilość najkosztowniejszych maści odbiera w ofierze Ten, którego przed chwilą pojono żółcią i octem; a najdelikatniejsze płótno otula teraz te członki, które tak ohydnie obnażono przy ukrzyżowaniu. Przy ukrzyżowaniu nie odważyła się z wyjątkiem pokutującego łotra żadna dusza wypowiedzieć ani jednego słówka na korzyść Syna człowieczego; a teraz mężowie, którzy dotąd się kryli z miłością swoją ku Niemu z bojaźni przed żydami, oświadczają mężnie i bez ustraszenia, iż są Jego przyjaciołmi. Tak więc przepowiednia Izajasza ziściła się.

Zdjęcie Jezusa z krzyża było pełną tajemnic ceremonią, czynnością nader rozrzewniającą, nie do opisania, wśród uroczystego milczenia, a legiony duchów niebieskich okrążyły ją dokoła. Mężowie ci postępowali sobie tutaj tak ostróżnie i oględnie ze wszystkiem, jakoby się obawiali ponowić boleści Ukrzyżowanego i byli przejęci miłością i uszanowaniem nie do opisania dla króla męczenników.

Ty zaś, Matko bolesna, z jakiemże uczuciem wzięłaś w owej godzinie zwłoki błogosławione Jedynaka w Twe ręce macierzyńskie na łono i spoglądałaś na Jego postać męczeńską! Co czuło Twoje serce, gdyś mu zdjęła koronę cierniową z głowy, gdyś wyciągała z ciała długie odłamane kolce cierniowe i gdyś obmywała rany okrutne! O mężna na duchu, Matko bolesna, niechaj iskierka owego płomienia miłości, który rozżarzył Twe serce na widok martwego ciała Chrystusowego, niechaj ta iskierka przyjdzie także i do mojego serca, aby z usposobienia światowego i chłodu ocknęło się do życia świętego! O Matko bolesna, Maryo, dozwól mi z Tobą płakać, miłować i uwielbiać!



Kościół św. Grobu w Jerozolimie.

»A na miejscu, gdzie był ukrzyżo-

wan, był ogród, a w ogrodzie grób nowy, w którym jeszcze żaden nie był położony. Tam tedy dla przygotowania żydowskiego, iż grób był blisko, położyli Jezusa. I przywalił do drzwi grobu kamień wielki i odszedł. A był dzień Przygotowania i szabat nastawał. A przyszedłszy niewiasty, które były z Nim przyszły z Galilei, widziały grób i jako było położone ciało Jego. A Marya Magdalena i Marya Józefowa patrzyły, kiedy Go kładziono. A wróciwszy się, nagotowały wonnych rzeczy i maści:



Kaplica św. Grobu.

a w szabat dały pokój, wedle przykazania.«

Tak więc znalazł Pan jak pierwsze tak i ostatnie dla siebie miejsce spoczynku w obcej własności: a mianowicie w żłobie pasterzy betleemskich i w grobie wykutym w skale Józefa z Arymatei. On sam nie miał nigdy tyle własności, gdzieby mógł skłonić głowę swoją. Nadeszła właśnie noc; tłumy ludu rozproszyły się, na górze Kalwaryjskiej zapanowała cisza grobowa a spokojne światło księżyca w pełni rozlewało się o zmierzchu po nad całą okolicą. Wyruszył tedy przezacny pochód. Józef i Nikodem, wsparci przez sług niektórych, niosą zwłoki Najświętsze; tuż przy nich idzie Matka bolesna, obok niej syn jej przybrany Jan, potem postępowała Marya Magdalena z innemi pobożnemi niewiastami. Tak więc idzie pochód ze szczytu góry »trupiej głowy« do znajdującego się w pobliskim ogrodzie grobu w skale wykutego. Własną ręką dopomagała wierna Matka do pochowania ukochanego swego dziecka, aż w końcu składa na bladem obliczu ostatni pocałunek i opuszcza wraz z innymi miejsce najświętsze.

Zaiste miejsce najświętsze, w którym Pan życia chciał święcić szabat tygodnia zbawienia i chciał »odpocząć od wszelkiego dzieła, które sprawił!« Zaiste, miejsce nader święte, w którym przez trzy dni chciał przebywać (tj. ostatnie godziny piątku, całą sobotę, i pierwsze godziny niedzieli, aż do brzasku dziennego), aby tutaj dokonać zwycięztwa nad śmiercią i grobem! To też wierni uświetnili*) to przenajświętsze miejsce już w oczach chrześciańskiej starożytności budową świątyni, która nie znalazła prawie sobie nic równego; a chociaż święty kościół grobu Pana Jezusa (obacz obrazek na stronie 103) został w ciągu piętnastu wieków cztery razy całkiem zburzony, wszelako podnosił on się z ruin coraz wspanialej. Wewnątrz tej dziwnej świątyni, (właściwie jest to kościół w kościele), stoi czczona przez chrześcijan i mahometan kaplica grobu św. (obacz obr. na str. 104) z ławą skalistą, na której niegdyś leżały zwłoki ukrzyżowanego, a gdzie dzień w dzień obchodzi się w ofierze mszy św. bezkrwawy obchód Jego śmierci krzyżowej.

Tak więc zwłoki Pana spoczywają w grobie, a jego chwalebna dusza prze-

---

*) Cesarz Konstantyn Wielki i jego św. Matka Helena, od roku 326 do 334.

bywa w otchłaniach, ale to tylko do tak przesławnej godziny zmartwychwstania, jak to już przepowiedział psalmista o Mesyaszu przyszłym: »Nie zostawisz duszy mojej w piekle, ani dasz świętemu Twemu oglądać skażenia.« Ale jeżeli się zapytamy dla czego Jezus zstąpił do otchłani, to poucza nas w tym względzie święty i książę apostołów mówiąc: »Bo i Chrystus raz umarł za grzechy nasze, sprawiedliwy za niesprawiedliwe: aby nas ofiarował Bogu, a umartwiony ciałem, ale ożywiony duchem. W którym też, tym którzy w ciemności byli duchom przyszedłszy przepowiadał.« Niechaj wyobrazi sobie, kto zdoła, radość tych dusz, gdy usłyszały radosną nowinę: »Grzech został zgładzony i odpokutowane bezprawie, wina odkupiona i znów otwarta brama raju niebieskiego: maluczko jeszcze, a Syn człowieczy wzniesie się w chwale swojej i zasiądzie na przygotowanym mu od wieków tronie po prawicy Ojca a z Nim wzniosą się wszyscy ci, którzy oczekiwali w sprawiedliwości Pomazańca Pańskiego!« O słodka wiadomości dla dusz patryarchów, proroków i wszystkich sprawiedliwych, którzy w niewysłowionej tęsknocie dnia tego wyglądali! A któż to jest Ten, który wieść tę słodką oznajmia? Nie jest to tylko dusza Chrystusa, ale prawdziwy Syn Boży, który w duszy swej ludzkiej ukazuje się tym sprawiedliwym w otchłaniach i przyczynia się im już teraz do błogiego oglądania Boga w jego majestacie! O błoga rozkoszy pierwszych rodziców Adama i Ewy! O radości nie do opisania wszystkich patryarchów i proroków! O tryumfie Opiekuna świętego Józefa, skruszonego łotra Dysmasa! O szczęśliwości wszystkich tych, którzy niegdyś za dni potopu odpokutowali za grzechy swoje przez śmierć, której pokuta towarzyszyła! Albowiem święty Piotr pisze wyraźnie, że i tym została dobra wiadomość zwiastowana. Tak więc spełniła się przepowiednia w księdze Syracha:

»Przeniknę wszystkie niższe części ziemie; a oglądam wszystkie śpiące i oświecę wszystkie ufające w Panu.«

KRZYŻ PRZY DRODZE.

Ktoś, co się przyczynić chciał do Boskiej chwały,
Stawił krzyż przy drodze piękny, okazały.
Siadał przy nim żebrak i klepał pacierze;
Kto szedł, zdjął kapelusz, pomodlił się szczerze....
I podał jałmużnę, na jaką go stało;
Dziad też shardział z czasem, bo mu się wydało,
Że ludzie czczą jego, iż nabył znaczenia,
Kłaniał się więc ludziom tylko od niechcenia.
Niebawem po latach nastał wicher srogi,
Zwalił i połamał krzyż ów koło drogi.
Wnet go uprzątnięto; żebrak jeszcze siadał,
Ale nad swą dolą nieborak zabiadał.
Kto szedł, nie zdjął więcej czapki, kapelusza.
Dziwi to żebraka, ramionami rusza,
Iż go nikt w tem miejscu nie czci po dawnemu;
Poznał, że dawano cześć — Bogu, nie jemu.

Józef Chmielewski.

WIADOMOŚCI GÓRNOSZLĄSKIE.

Marzanka i gaik.

W niektórych okolicach Szląska utrzymał się starodawny zwyczaj, że dziewczęta w piątą niedzielę postu (»Judica«, albo też w niedzielę »Laetare«) chodzą po wsiach z marzanką. Jest to ogromna lalka ze słomy urobiona i ubrana w szaty świąteczne jakiej panny; za wsią ją rozbierają i wrzucają do wody. Potem wracają z gaikiem t. j. chojenką ozdobioną różnobarwnemi wstążkami i przed oknami stojąc śpiewają odpowiednie pieśni, np. »Nasz gaik zielony, pięknie ustrojony (przy Głogówku i Rybniku), albo »Do tego tu domu wstępujemy, szczęścia, zdrowia winszujemy«, (około Lublińca), albo »Wynieśliśmy śmierć ze wsi, nowe lato niesiem do wsi« itd. Przy Głogówku chodzili aż do roku 1782 nawet dorośli wieśniacy w uroczystym pochodzie z marzanką, którą utopiono w Osobłodze. Teraz ten zwyczaj miejscami zupełnie idzie w zapomnienie. Rzadko kto zna jego początek lub znaczenie, chociaż w podobny sposób napotykamy go w Czechach i według uczonego badacza starożytności, profesora Grimma, też w niektórych wioskach niemieckich. Przed kilku laty sam widziałem, jak dzieci we Wrocławiu chodziły z gaikiem (»Maibäumchen«) śpiewały i zbierały podarunki. W Polsce dawniej wszędzie te obrządki ludowe były rozpowszechnione, jak wspomina Długosz i Bielski. W kronice Komienieckiego († 1733) czytamy, że za jego czasów także po miastach Galicyi noszono Marzanę na długiej żerdzi. Dzisiaj znają takową tylko górale podkarpaccy i południowe powiaty księstwa poznańskiego.

Marzanka i gaik są prowdopodobnie pochodzenia słowiańskiego i przypominają uroczystości, które za pogańskich czasów obchodzono na początku wiosny. Marzana czyli Morena (mors po łacinie) była u pogan boginią śmierci, która według ich zdania zniszczy albo uśpi nie tylko ludzi, lecz podczas zimy też rośliny i niektóre zwierzęta. Gaik przypomina w poetyczny sposób, że wszystko ożyje i zostanie przyozdobione, gdy zima ustąpi; więc radość dzieci i jajka, które otrzymają za śpiewanie, są niby symbolem nowego życia.

Gdy książę polski Mieczyław przyjął wiarę chrześciańską, kazał nie tylko bałwan Marzany, lecz wszystkich bożków w niedzielę »Laetare« do wody wrzucić. Duchowieństwo chrześciańskie nie mogąc wykorzenić starodawnego obrządku, dało mu szlachetniejsze znaczenie, bo odtąd topiono każdorocznie marzankę na pamiątkę owego zniweczenia bożków. Gaik miał przypomnieć zwycięstwo chrześciaństwa, które wszystko ożywiło, przyozdobiło i rozweseliło. Jak chojenka w czasie Bożego Narodzenia, tak gaik zielony jest symbolem naszej nadzieji i naszego duchowego odrodzenia lub zmartwychwstania.

J. Piast.

Nasze lampy domowe.

»Jakoś dzisiaj lampa wcale się nie chce palić« lub »nie wiem, co to znaczy, że teraz tyle mi cylindrów pęka« takie skargi słychać bardzo często, prawie w każdym domu. A skargi te, ponieważ tak są ogólnemi, mogłyby naprowadzić na myśl, że już chyba tak być musi, że temu złemu się nie da zaradzić. A przecież na wszystko są sposoby: należy tylko zawsze zważać na to, co poniżej w tym względzie podamy, a pewnie skargi ustaną.

Przedtem jednak niech nam będzie wolno powiedzieć kilka słów o destylacyi petroleju, czyli — co to samo znaczy — oleju skalnego.

Petrolej w płynnym po większej części stanie napotkano w wszystkich pięciu częściach ziemi. Wypływa on prawie zawsze sam z ziemi, naturalnie nie taki czysty, jaki się obecnie używa do oświetlania, i nazywa się pierwotnie surowcem i zanim go w fabrykach cerozyny, rozłożą przez destylacyą na jego części składowe. Jeżeli się naczynie destylacyjne z petrolejem surowym wystawi na działanie ciepła, wtedy ulatnia się nasamprzód benzyna, część składowa petroleju ogólnie znana jako łatwo zapalna, wybuchająca i łatwo się ulatniająca. Przy 160 stopniach gorączki podług termometru Celzyusza a 128 stostopniach Réaumura (czytaj Reomira) wydobywa się na wierzch petrolej, jakiego zwykle używamy; — przy jeszcze większem gorącu podnoszą się oleje do smarowania używane, a co potem zostaje, to smoła i podobne substancye.

Przy lampach dawniejszych, w których palono olej, była eksplozya niemożliwa, ponieważ olej nie zapala się sam. Jeżeli więc w zbytniej ilości dostawał się do ogniska, to jest do płomienia, to spływał niespalony z lampy, a nawet płomień zagasić był w stanie.

Inaczej się rzecz ma z petrolejem. Wszystkie gatunki petroleju mają to do siebie, że eksplodują, tylko że zapalność, czyli zdolność zapalenia się u nich nie jest równa. Jedne zapalają się od pierwszego lepszego płomienia, drugie wymagają już wyższego stopnia gorąca, ażeby się zająć żywym ogniem. Im niższym jest stan ciepła, przy którym petrolej się zapala, tem niebezpieczeństwo większe, bo łatwiejszy wybuch. Temperatura, przy której się w basenie czyli w kociołku u lampy zapalne gazy wytwarzają i wybuch spowodować mogą, wynosi 35 do 37 stopni Cel. (28 do 29,6 stóp. R.) Atoli chociażby jakim dziwnym sposobem kociołek się rzeczywiście do tyla rozgrzał, to w takim razie wybuch koniecznie jeszcze nastąpić nie potrzebuje. Do tego potrzeba nieodzownie, ażeby się razem odpowiednia ilość zwykłego powietrza w kociołku znajdowała, i to nawet stósunkowo wielka, bo jeszcze przy równych częściach powietrza i gazów petrolejowych wybuch nie nastąpi; dopiero jeżeli jest więcej powietrza zwykłego od gazów, niebezpieczeństwo wybuchu bliskie, a wybuch jest najsilniejszym, skoro na jednę część gazu przypada 8 do 9 części powietrza. W innym razie zwykł petrolej spłonąć z lekkim hukiem, a wtedy siła eksplozyi nie jest nawet tak wielką, żeby rozsadzić szklany kociołek; czasem płomień tylko nagle i na chwilę w górę buchnie lub zagaśnie.

Ważną przytem odgrywa rolę przyrząd blaszany, w którym tkwi knot gorejący. Metaliczne części tego przyrządu oddawają łatwo ciepło swe basenowi, i to przy lampach z płaskiem płomieniem łatwiej, niż przy lampach z płomieniem okrągłym. U pierwszych płomień przechodzi otworem w nakrywce blaszanej, którego brzegi bardzo ścieśnione mocno się rozgrzewają, podczas gdy u lamp z okrągłymi płomieniami gorąco więcej przechodzi w cylinder otaczający ognisko. W pierwszym razie jest przewodnikiem ciepła do basenu kruszec, w drugim szkło, i dla tego też u lamp z płaskim płomieniem może się knot łatwo zagrzać do 50—60 stopni Cel. (40—48 stopni R.)

Dalszą przyczyną wybuchów petroleju mogą być także otwory, u dołu metalicznego ogniska się znajdujące, a służące do przepuszczania potrzebnego powietrza, jeżeli są za wielkie i w nieodpowiedniem miejscu porobione. Przy nieuważnem czyszczeniu lampy nieraz zwęglone części knota wpadają w środek ogniska, mianowicie u lamp z okrągłym płomieniem, i pozostają tam skutkiem niedopatrzenia i opieszałości. Że te cząstki knota, przesiąknięte petrolejem, łatwo się zapalić i płomień do kociołka przenieść są zdolne, zapewne każdy po po namyśle przyzna. Daleko jednak niebezpieczniejsze są kanały czyli rowki, utworzone przez to, że knot nie jest

dość szerokim, ażeby wypełnić szczelnie miejsce dla niego przeznaczone. Kanały te są wprost połączeniem wnętrza basenu z płomieniem. Twierdzą także, że zbytnie napełnienie kociołka petrolejem powoduje eksplozyą. W razie gdyby płyn rzeczywiście się przelewał, może wybuch nastąpić, ponieważ będąc blisko płomienia wnet się rozgrzać może, a wtedy więcej nabiera rozciągłości, niż szkło cylindra, które jak każda rzecz, w cieple się rozpręża. Wyziewy petroleju mięszają się z powietrzem, dochodzącym przez otwory do płomienia, i wtedy następuje wybuch. Eksplozya taka jest jednakowoż nieznaczna i może tylko spowodować pęknięcie cylindra, atoli nigdy płomień do basenu nie przejdzie.

Bez podstawy jest znowu także lękliwość tych, którzy, aby zapobiedz możliwej eksplozyi, basen tylko do połowy petrolejem napełniają. Nasamprzód potrzebuje większa ilość płynu palnego więcej znacznie ciepła, ażeby się do tyla rozgrzać, iżby ztąd gazy się utworzyły, a potem płomień na pół pełnego kociołka lampy jest także daleko słabszym i daleko gorzej się pali. Im niżej bowiem powierzchnia petroleju w kociołku spada, tem trudniej odpowiednia a potrzebna ilość płynu dostaje się przez knot do płomienia, a im mniej płynu do płomienia dochodzi, tem on słabszy. Wykręcanie knota w ten sposób naturalnie także nic nie pomoże. Nie tylko że jasność płomienia przez to się większą nie staje, ale przeciwnie, przez zbytnie zwęglenie knota wytwarza się tylko dym i zaduch.

Bezpośrednio po zgaszeniu lampy należy knot wśróbować niżej brzegów metalicznego ogniska. Przez pewien czas po zagaszeniu bowiem wciąż jeszcze w cylindrze skutkiem panującego w nim ciepła krąży powietrze i dopływa świeże, przez co knot wciąż się jeszcze żarzy, mianowicie jeżeli już mało tylko petroleju w kociołku, i wytwarza swąd nieprzyjemny.

Za dnia nie powinien knot po oczyszczeniu lampy nigdy wystawać po nad brzegi metalicznego ogniska. Knot bowiem, czy się pali, czy nie, wciąż w siebie wciąga petrolej, który przelewa się, jeżeli knot wystaje po nad brzegi metalicznej tulejki, i osadza się na kociołku i na podstawie lampy. A wielu potem myśli, że to kociołek sączy.

Najodpowiedniejsze zaś są kociołki płaskie, gdyż w ten sposób płomień najdłużej zachowuje równej jasności płomień, bo powierzchnia szersza nie tak szybko opada, jak mała, a knot nie wiele więcej wciąga w siebie petroleju, jak u basenów wąskich. Za szerokimi jednak baseny już z tego powodu być nie mogę, że zbyt szerokie rzucają za wiele cienia na najbliższe otoczenie lampy.

A teraz kilka słów o cylindrze. Skargi, że cylindry tak często pękają, są, jak już powiedzieliśmy na wstępie, nader częste. A co temu winne? Cylindry? Nie, albo chyba rzadko. Polega to raczej na innych okolicznościach.

Wina spada nasamprzód na krzywe ustawienie cylindra, co łatwo poznać po dymiącym się płomieniu. Płomień bowiem uchodzi prostopadle w górę, bez względu na to, jak cylinder stoi, zatem jedna strona szkła rozgrzewa się mocniej niż druga. Skutkiem tego cylinder nie równie się rozpręża i brdęk! już pękł, — kupuj znowu inny! Czasem cylinder jest dobrze osadzony i stoi prostopadle, ale ognisko, czyli tulejka metaliczna nie znajduje się w samym środku. Łatwo się o tem przekonać, spoglądając z góry cylindrem na dół: rurka metaliczna powinna się wtedy w środku cylindra ukazać. Najczęściej spotyka się tę nieregularność u starych lamp, a pochodzi ona ztąd, że jeżeli się co popsuło, to daje się zwykle tylko uszkodzoną część, a nie całą lampę do naprawy. Cylinder nie powinien także być za mocno osadzonym, gdyż w takim razie nie może, rozgrzawszy się, rozprężać się i rozciągać, a więc musi pęknąć. Taki sam skutek się ma, jeżeli cylinder przed zapaleniem lampy zbyt był zimny, a płomień od razu ma być wielki i jasny.

Kiedy cylinder sam winien pęknięciu, poznać po tem najczęściej, jeżeli pękł od brzegu górnego lub dolnego.

Pochodzi to ztąd, że cylindry, kiedy się je wyrabia z masy szklanej, są początkowo dłuższe; następnie się końce ułamują i ogładzają. Przy tej pracy tworzą się lekkie, gołem okiem niedostrzegalne rysy, które przy rozgrzaniu się i rozdęciu cylindra dają początek pęknięciu. Gdyby to cylindry przy fabrykacyi po ogładzeniu znowu włożono do pieca, ażeby się końce przez powolne przytopienie wyrównały, to byłyby daleko wytrzymalsze.

Wiele gospodyń wierzy mocno, że cylindry daleko są hartowniejsze, jeżeli się je włoży do zimnej wody, a potem na wolnym ogniu zagotuje. Ano, jeżeli się przekonały, że to dobre, to niechaj gotują cylindry; — pod sekretem po-



DWAJ PRZYJACIELE.

wiemy im, że to pomoże tyle, co — nieprzymierzając — umarłemu kadzidło.

Niekiedy zdarzy się, że lampa, która się długi czas dobrze paliła, naraz pali się płomieniem nierównym, drgającym i skakającym. Przyczynę niedogodności łatwo wynaleść i usunąć. Na dole otworu, w który się cylinder wsadza, znajdują się oto jakie drobne przedmioty lub nieczystości, które nie dozwalają, aby cylinder ściśle i dokładnie przystawał. Otóż te należy wyjąć, ognisko metalowe wyczyścić dobrze, a lampa znowu spokojnie palić się będzie.

Czasem znowu można słyszeć, jak płomień wydaje odgłos lekkiego wybuchu: pyk, pyk! Pochodzi to ztąd, że przy czyszczeniu mokrą ścierką cokolwiek wilgoci dostało się do petroleju. Skoro więc te cząstki wody razem z petrolejem dojdą do płomienia, sprawiają, ponieważ nie są palne, nagłe zatrzymywanie się płomienia, a to jest powodem odgłosu. Jeżeli do basenu wogóle się wody wlewa, ażeby go wyczyścić, to z tych samych względów należy potem basen zupełnie wysuszyć.

Gdy się codziennie do lampy dolewa zawsze tylko tyle petroleju, ile się go poprzedniego wieczora wypaliło, natenczas tworzy się osad na dole kociołka, który się ciągle powiększa, ponieważ płynniejsze części zawsze łatwiej knot w siebie wciąga, aniżeli ciężkie i nieczyste; skutkiem tego zaś pali się lampa coraz to gorzej i ciemniej. Ażeby temu zapobiedz, winien się petrolej w lampie na przykład przynajmniej co dwa tygodnie raz wypalić do szczętu, poczem należy lampę gruntownte wyczyścić.

Co do knota samego, to nie powinien tenże być nigdy dłuższy nad 20 do 25 centymetrów. Jeżeli bowiem jest za długi i ztąd też długo w petroleju się znajduje, natenczas kłaczy się czyli wełni, twardnieje i nie wciąga w siebie już z taką łatwością potrzebnej ilości płynu. Zbyt krótki naturalnie tak samo nie odpowiedni, a przedłużanie go za pomocą wełnianych nitek, chociaż ma niby oszczędność na celu, bo chce się knot do końca wypotrzebować, także nie na wiele się przyda, bo płomień przez to ciemny.

Wszystko, cośmy wyżej spisali, na pozór niby same znane rzeczy, a jednak jesteśmy przekonani, że właśnie dla tego na nie mało się zważa. Zwykle bowiem rzeczy, które codziennie spostrzegamy, najmniej na siebie naszą uwagę zwracają. To też podobne zestawienie, jak powyższe, nie będzie zapewne od rzeczy, chociaż tylko jako przypomnienie.

Na zakończenie niech nam będzie wolno wypowiedzieć jeszcze kilka słów co do upiększania lamp, jakie w ostatnich czasach zdarzało się widzieć. Niejednokrotnie kładzono, a zapewne i kładą jeszcze do basenu świeże kwiaty, jak mianowicie róże, które w petroleju długo zachowują swą barwę i nieźle wyglądają. Otóż w tym względzie da się tylko jedno powiedzieć: Prawda, że człowiek wszystko lubi upiększyć i ustroić; niech więc i lampy przystraja i upiększa, jeżeli ma w tem pewne upodobanie, ale tylko — zewnątrz! Bo wkładanie tego rodzaju przedmiotów do basenu szkodzi tylko czystości petroleju i umniejsza jasność płomienia.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Tak sobie jechali przeszło półtorej godziny. Naraz spostrzegł Fergusson w oddali las. Gdy słoń do niego dobieży, niezawodnie się między drzewa schroni, a wtedy z balonem będzie źle, bo się o drzewa rozedrze. Nie było tedy innej rady, jak kotwicę od słonia oddzielić.

— Ryszardzie, strzelaj! — rzekł do przyjaciela.

Ryszard strzelił, a mierzył w łeb słonia, ale kula odbiła się o łeb, żadnej nie zadawszy rany. A strzał miał nadto ten skutek, że słoń nim przestraszony spieszniej biedz zaczął.

— A to ci twardy łeb! — mruknął Józef.

Ryszard gniewał się, że słonia nie zranił. Wycelował tedy ponownie, a teraz w bok i strzelił. Słoń ryknął okropnie i jeszcze szybciej biedz począł.

— Nie ma rady — odezwał się Józef, — widzę, że muszę wam dopomodz, panie Ryszardzie.

Obaj tedy na przemian zaczęli strzelać do słonia, a ten ryczał, lecz nie padał, tylko biegł jak wściekły ku lasowi już niedalekiemu.

— Jeżeli go przed lasem nie ubijecie, — odezwał się Fergusson, — muszę przeciąć linę.

Ryszard i Józef palili jak do tarczy. Naraz słoń skoczył gwałtownie a balon wstrząsnął się wielce. Fergussonowi wypadła siekiera z rąk i spadła na ziemię. Pobledli wszyscy, bo liny, na której kotwica wisiała, odwiązać nie szło, a przerznąć jej nożem nie sposób. Słoń zaś nie padał, lecz pędził a pędził coraz bliżej do lasu.

Wtem stanął i podniósł łeb i trąbą machnął w około. Pan Ryszard skorzystał z tej chwili i wsadził mu kulę w oko. Słoń ryknął strasznie i upadł na kolana.

— Teraz w serce! — krzyknął Ryszard i już posłał kulę, która istotnie w serce słonia trafiła i z nóg go zwaliła.

Józef spuścił się zaraz po linie na ziemię, później wysiadł też Fergusson i Ryszard.

Józef zabrał się do wykrojenia ze słonia najprzedniejszych i najsmaczniejszych kawałków. Następnie rozniecił ogień i piekł te kawałki, a pogwizdując sobie wesoło, przechwalał się, że sporządzi dla panów obiad, jakiego jeszcze nie jedli. Ryszard udał się w tym czasie na polowanie albo raczej na przechadzkę w pięknej okolicy. Józef mówił, że pan Ryszard wprawia się do chodzenia po ziemi, bo ciągła jazda balonem napełnia go obawą, iż chodzić zapomni. Fergusson tymczasem spisywał swoje spostrzeżenia, przeglądał mapy i różne znaki na nich kreślił celem zapamiętania.

Gdy zjedli obiad, położyli się w trawach i popijając wino i paląc cygara, rozprawiali sobie o Anglii. Noc postanowili spędzić na ziemi. W tym celu Józef naznosił chróstu i drzewa i całe legowisko otoczył niejako wieńcem ognisk. W ten sposób zabezpieczają się podróżni przed napadem dzikich zwierząt, które ognia się bojąc, nie przestąpią wianka gorejącego. Oczywiście, że zawsze jeden z podróżnych czuwał, ażeby ogień nie zgasł. Pan Ryszard musiał w ciągu nocy kilkakrotnie wystrzelić na postrach bestyom, co się zanadto do ognisk zbliżyły.

Nazajutrz ruszyli dalej w podróż; wiatr sprzyjał, więc lecieli szybko. Fergusson spoglądał od czasu do czasu na mapę, a na twarzy pokazywał mu się uśmiech zadowolenia. Józef wiedział, że pan jego wtedy się uśmiechał, gdy widział, że jego plany i chęci się spełniały. Snać balon tak leciał, jak chęciom Fergussona odpowiadało.

I rzeczywiście tak było. Uczeni ludzie, którzy badaniem krajów się zajmują, oddawna byli ciekawi, gdzie właściwie są źródła rzeki Nilu. Fergusson, choć o tem nie mówił, pragnął, udając się w powietrzną podróż, przekonać się o tem i dotrzeć do źródeł tej rzeki. Z map przekonał się, że kierunek, w jakim balon pędził, był tym, który go do celu doprowadzić mógł. Serce jego napełniało zadowolenie, że pierwszy przekona się i powie całemu światu, iż widział źródła Nilu, czego do tego czasu jeszcze nikt powiedzieć nie mógł.

Cały dzień lecieli! Noc spędzili w balonie, a nazajutrz znowu lecieli. Fergusson patrzał to na ziemię, to na mapę, aż wreszcie zawołał:

— Panowie! Dziś lub nigdy zobaczymy Nil.

Wszyscy spojrzeli w dół. Wielkie wody roztaczały się pod nimi; to było jezioro, zwane Wiktorya-Nyanza.

Lecieli patrząc pilnie…

Po kilku godzinach takiej jazdy zawołał Fergusson:

— Patrzcie, moi przyjaciele! Opowiadnia Arabów sprawdzają się; oni mówią, że z tego jeziora wypływa wielka rzeka. Tak jest istotnie! Patrzcie! Płyniemy nad nim. To Nil, Nil!

— Nil! — mruknął p. Ryszard.

— Niech żyje Nil! — krzyknął Józef.

Wszyscy trzej spoglądali na wspaniałą rzekę, która z łoskotem i hukiem toczyła się, zasilana z obu brzegów licznemi rzeczkami. Tak lecieli, rozkoszując się widokiem. Fergusson pilnie śledził przez dalekowidz całą okolicę. Nie czynił tego tylko z ciekawości. Wiedział bowiem dokładnie, że różni śmiali podróżnicy, którzy od północy Afrykę badali, dotarli wprawdzie nie do samych źródeł, ale daleko w kraj, równolegle z Nilem idąc. W opisach ich podróży wyczytał, że w tej okolicy musiał być gdzieś wielki wodospad Nilu i wyspa na rzece, nazwiskiem Benga, do której dotarł podróżnik, nazwiskiem Andrea Debono.

Naraz Fergusson zakrzyknął i zawołał:

— Patrzcie tam! Wysepka a na niej cztery wielkie drzewa, stojące w niejakiem odosobnieniu. Tam był Debono. Tu musimy się gdzie zatrzymać, a choćby tylko na ćwierć godziny. Musimy się spuścić na ową wysepkę, aby się przekonać, że się nie mylimy.

Łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać, bo po obu brzegach widać było osady i dzikich ludzi, którzy spostrzegłszy balon, biegli trwożliwie, nie wiedząc, jakby sobie takie dziwowisko wytłómaczyć.

Ponieważ Fergusson koniecznie chciał wysieść na ląd, więc Ryszard postanowił spłoszyć dzikich i gdy balon niżej ku ziemi się spuścił, wypalił kilkakrotnie z karabinu. Skutkiem tego dzicy się zlękli i pierzchli na wsze strony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Kazimierz Chłapowski. Od 27 do 29 Września 1891 odbył się w Toruniu piękny wiec dla katolickiej ludności polskiej. Wiece, to dla Polaków nie nowina, bo od dawnych lat już zbierają się na miejscowe wiece i na wielkie, które zwykle w Poznaniu urządzano. Ale takiego wieca, jak w Toruniu, jeszcze dotąd nie było w polskich stronach. Dotąd zbierali się Polacy na wiece, głównie dla spraw polskich, a choć te sprawy zawsze były pełne ducha katolickiego i po katolicku wszystko się na wiecach odbywało, to jednak przedewszystkiem były to zebrania dla załatwienia spraw szczególnie polskich.

Wiec w Toruniu stanął na szerszym fundamencie, bo ci, co go urządzili, określili wiec jako wiec katolicki dla ludności polskiej. Sprawy, jakie tam omawiano, choć niejedne z nich wyłącznie polskiego narodu się tyczyły, rozbierane były ze stanowiska przedewszystkiem katolickiego. To nadało wiecowi cechę wybitnie katolickiego zebrania. Wiec toruński ma wielkie znaczenie, bo pokazał światu, że Polacy są nietylko dobrymi Polakami, ale także dobrymi Katolikami.

Miłą zapewnie będzie rzeczą dla wszystkich, ujrzeć w »Świetle« portret marszałka czyli przewodniczącego wieca toruńskiego p. Kazimierza Chłapowskiego z Kopaszewa. Nie piszemy obszernego życiorysu tego zacnego męża, bo musiałby to być życiorys niedokładny, gdyż p. Ch. jest w sile wieku i jeszcze wiele dobrego dla swojego narodu zdziałać może. To tylko dodajemy, że p. Ch. jest wzorowym Katolikiem i dzielnym Polakiem, którego nigdy nie brak, gdy chodzi o dobro Kościoła katolickiego i narodu polskiego. Niech go P. Bóg za to błogosławi a długich jeszcze lat użyczy do tak zacnego działania.

Codopiero wyszła książeczka o wiecu toruńskim, w której jest opisany cały jego przebieg, są umieszczone mowy, uchwały i t. d. Dla tych, co na wiecu byli, miła to pamiątka; dla tych, co być nie mogli, pożyteczna książeczka i dla tego ją wszystkim gorąco polecamy. Książeczkę wydał ks. dr. A. Wolszlegier i słowem wstępnem opatrzył. Można ją nabyć w księgarni K. Zabłockiego w Toruniu, a także z ekspedycyi »Światła« w Bytomiu za 1 m. Kogo na to stać, niech sobie tę książeczkę kupi, bo to bardzo dobra książka.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Prawidła pisowni polskiej.

III. Wyrazy obce.

1. Według prawideł pisowni polskiej pisze się:

a) Imiona własne ze świata starożytnego, które nasz język przyswoił sobie przez tradycyą kilku wieków, za pośrednictwem wpływów literatury łacińskiej, a więc nietylko: Wergiliusz, bitwa pod Kannami, Ateny, Pizystrat, Pauzaniasz, Fidyasz, Cyrus, i t. p. lecz także: Krezus, Jazon (nie Jason), Aspazya (nie Aspasia), Maraton, Demostenes (nie Marathon, Demosthenes), Cezar (nie Caesar), Kappadocya (nie Cappadocia) i t. p. Jeżeli chodzi o wskazanie pisowni oryginalnej lub brzmienia oryginalnego, można to łatwo uczynić w nawiasie (Cannae, Croesus). Nie należą tu oczywiście w żadnym razie nazwy geograficzne, których nie odmienia się w polskim języku: Aquae Sextiae, Philippi, Aegospotamos i t. p.

b) Imiona własne słowiańskie oraz imiona wzięte z języków, nie używających alfabetu łacińskiego: Wyszehrad, Jelaczyc, Sołowiew, Brankowicz, Cankow, Trikupis i t. p.; tu należą także: imiona własne i nazwy ludów azyatyckich, afrykańskich, amerykańskich i australskich, n. p. chedyw (nie khedive), Czippewaje (nie Chippewaje), jak często piszą.

2. Według pisowni oryginalnej pisze się imiona własne, wzięte z języków nowożytnych, które używają alfabetu łacińskiego: Goethe, Schiller, Rousseau, Byron, Bordeaux, Manchester i t. p. W deklinacyi można używać apostrofu, jeśli to jest potrzebne dla zachowania oryginalnej pisowni, n. p. Rousseau'a, Percy'ego i t. p.

Wyjątek stanowią nieliczne nazwy geograficzne, oraz imiona własne osób ze świata nowożytnego, językowi naszemu przyswojone, a więc nietylko takie, które przybrały brzmienie odmienne od oryginalnego, n. p. Paryż, Londyn, Madryt i t. p., Rafael, Tycyan, Kondeusz i t. p., ale również i takie, w których zachowało się brzmienie oryginalne n. p. Wenecya (nie Venezia), Piza (nie Pisa), Filadelfia (nie Philadelphia) i t. p., oraz Szekspir (lub Shakespeare), Kalderon (lub Calderon), Wolter (lub Voltaire). Powyższe nazwy i imiona własne pisze się według prawideł pisowni polskiej.

3. Wyrazy, utworzone z imion własnych obcych n. p. Bajronizm, szekspirowski i t. p., pisze się według prawideł pisowni polskiej.

4. **x** zachowuje się jedynie w imionach własnych; zresztą należy zaniechać go zupełnie, używać zaś według brzmienia **ks** lub **gz**: tekst, kodeks, egzamin, egzemplarz i t. p.

5. **ge** pisze się tylko: a) w wyrazach przyswojonych z języka łacińskiego i greckiego lub też za ich pośrednictwem: geometrya, genealogia, algebra. generał, regent, geniusz i t. p.; b) w imionach własnych przyswojonych: Gerwazy, Gertruda, Genewa, Genua i t. p., z wyjątkiem imion litewskich: Giedymin, Olgierd, Skirgiełło i t. p.; zresztą wszędzie **gie**: Angielka, giermek, giełda i t. p.

Uwaga. W wyrazach przyswojonych, w których **ge** przeszło w wymowie na **je**, pisze się także **je**: jenerał (mówią bowiem generał i jenerał), rejestr, rejent (notaryusz) i t. p.

6. **gi** pisze się w wyrazach, które pochodzą z języków klasycznych, zarówno tam, gdzie w wymowie **gi** się utrzymało: magistrat, registratura i t. p., jak i tam, gdzie przeważnie wymawiają samo **i**, logiczny, imaginacya i t. p.

7. **i** lub **y** w wyrazach przyswojonych, gdzie w językach klasycznych jest **y**, pisze się według wymawiania, a więc hipoteka, hiperbola, mitologia, pirotechnik i t. p., lecz hymn, hybrydy, hydra i t. p.

8. Wyrazy spolszczone z łacińskiego **-ia, -io** pisać należy według dawnej tradycyi ortograficznej przez **-ya** (po c, d, r, s, t, z), **-ia** (po innych spółgłoskach): Francya, sympatya, dyabeł, Arabia, Dania, konwalia i t. p.

Uwaga. Chrześcijanin, chrześcijaństwo, nie: chrześcianin, chrześciaństwo. (Dalszy ciąg nastąpi.)

Praktyczne rady.

— **Co robić gdy kto zachoruje?** (Rady lekarskie).

Stłuczenie ciała. Gdy kto upadnie na twardy jaki przedmiot, lub uderzy się o niego, powstaje stłuczenie, za którem idzie czasem zapuchnięcie, sińce lub małe zadrapanie. W tym wypadku trzeba na miejsce stłuczone robić zimne okłady, gdy stłuczenie jest nieznaczne; gdy zaś stłuczenie jest większe, robi się przez kilka pierwszych dni okłady zimne, a później naciera się wódką samą, lub zmięszaną z mydłem albo solą. Jeżeli przy stłuczeniu powstała rana, wówczas robi się zimny okład i przykłada się go co 5 lub 10 minut. Bierze się ręcznik lub szmatę, rozumie się czystą, macza się ją w zimnej wodzie, wyciska, składa we czworo i przykłada na miejsce stłuczone.

Wstrząśnienie mózgu. Zdarza się, że gdy kto upadnie na głowę z drzewa lub z dachu lub uderzy się głową o jaką rzecz twardą, wtedy omdlewa, traci przytomność, czasem nadto wymiotuje, a oddech staje się charczącym, twarz zaś bledniej. Gdy taki człowiek po chwili przyjdzie do siebie, czuje się bardzo słabym i zatacza się jak pijany. Przyczyną tego jest wstrząśnienie mózgu. Takiego chorego trzeba zaraz położyć równo na pościeli, pod głowę dać poduszkę, rozpiąć całe ubranie a czoło i skronie lekko nacierać wódką lub winem i podawać ocet do wąchania. Można też dać mu połknąć, jeżeli się da, trochę czarnej kawy, wódki lub wina. Unikać zaś należy z początku zlewania głowy i twarzy zimną wodą, ani też nie trzeba dawać na głowę zimnych okładów. Gdy chory mimo ratunku, nie ocuci się, trzeba zawezwać lekarza, bo przy takiem wstrząśnieniu mózgu, może też czasem pęknąć kość w czaszcze, lub krew rozlać się na mózg, a wtedy tylko lekarz może dopomódz.

(L. R.) **Sposób odświeżania masła.** »Światło« podało saletrę jako środek do odświeżania masła, ale saletra nie odświeża, tylko konserwuje, a musi być tylko w małych ilościach używaną, gdyż smak jej brzydki, a nawet zdrowiu szkodzący. Masło odświeża się magnezyą i węglanem magnezyi (magnesia carbonica). W rozgrzane do miękkości masło, sypie się kilka łyżeczek magnezyi, wymięsza dobrze a potem płucze tak długo miękką wodą czystą, aż czysta niefarbowana czyli bezkolorowa woda odpływać będzie. Potem urabia się, jak zwykle i należy je jak najprędzej spotrzebować, gdyż takie masło niedługo znów iłczeć zacznie.

(L. R.) **Na robactwo u kur** polecało »Światło« bielenie z kwasem karbolowym. Tegobym nie radził, bo kwas karbolowy jest trucizną i kury mogłyby, wdy-

chając ją, pochorować. Najlepiej bielić wapnem, kurnik wysypywać piaskiem i popiołem i tedy owedy rzucić doń pęczek wszędzie rosnącego piołunu (wermuth). Perski proszek jest dobry, lecz drogi.

Z ogrodownictwa.

3. Ogród warzywny.

(Ciąg dalszy.)

Melony (Cucumis melo) siane w gruncie wymagają osłonionego od chłodnych wiatrów miejsca i słonecznej wystawy. Grzędom nadaje się kształt owalno-wypukły, a pod spód podsypuje się warstwę świeżego końskiego gnoju. W pierwszym okresie wegetacyi zaleca się przykrywanie melonów szklannemi dzwonami, dla dostarczania im ciepła i ochrony od deszczu. Aby pobudzić rośliny do silniejszego owocowania, należy je kilkakrotnie przecinać.

Podlewanie melonów odbywa się z możliwą ostrożnością, wodą dobrze wystałą, a nawet ogrzaną, tak aby woda nie dostawała się do łodygi, ale tylko do koła zwilżała ziemię w pewnej od rośliny odległości. Unikać trzeba zwilżania kwiatów podczas osadzania się owoców. Najlepiej podlewać zrana, albo wieczorem, przed samym zachodem słońca.

Dojrzewanie poznaje się po zapachu wydzielającym się z owocu. Przmiana zielonej barwy na żółtą jest także cechą dojrzałości u niektórych odmian, ale nie u wszystkich. W niepomyślnych, zimnych i bardzo dżdżystych latach uprawa melonów w gruncie może zupełnie chybić; nie wszystkie też odmiany nadają się do uprawy na gruncie. Do tego celu najlepiej służą: melon siatkowy, mały Chito, Sareptski, Kantalupa srebrzysta, melon Goliat i żółty. Nową, godną zalecenia odmianę stanowi melon amerykański, hodowany w szpalerach; wydaje on nie wielkie, ale smaczne i bardzo przyjemnego zapachu owoce.

Z odmian dyni czyli bani (Cucumis Pepo) zalecają się do uprawy w ogrodzie warzywnym: wielka żółta, centnarowa albo olbrzymia, do dobrego wzrostu, bardzo silnej, żyznej, ale przytem pulchnej ziemi i obfitego podlewania w czasie gorącej i suchej pory roku. Często powtarzane gnojenie płynnym nawozem bardzo sprzyja rozwojowi owocu do olbrzymich rozmiarów.

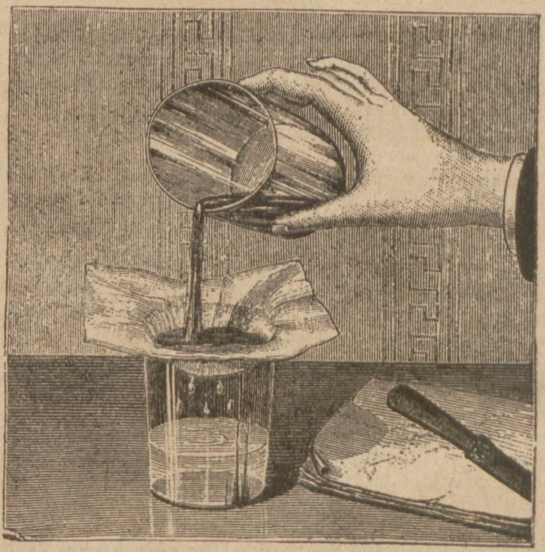
Sałata głowiasta uprawia się na oddzielnych grzędach, albo też w połączeniu z wczesną kalarepą, na brzegach grzęd z ogórkami. Najwięcej upowszechnione odmiany są: zielona i żółta, t. zw. kamienna, jako bardzo wczesna. Żółta cesarska, bardzo delikatna, wielka azyatycka, jajowata, wydająca niewielkie wprawdzie, ale bardzo delikatne główki, ztąd może być gęściej sadzoną. Paryzka kształtu głowy cukru, bardzo piękna, krwisto-nakrapiana na liściach. Letnim upałom najlepiej się opiera sałata trwała Perpignańska.

Żółta i brunatna zimowa sałata wytrzymuje zimę w gruncie. Nasienie wysiewa się w Sierpniu, a po kilku tygodniach młode roślinki przesadzają się na grzędy zrobione na suchem i nieco wyniosłem miejscu, w małe rowki, które im służą za ochronę przy częstej zmianie temperatury podczas zimy.

Sałata listkowa (nie zawiązująca się w główki) zasiewa się w Marcu i w Kwietniu rzędowo w odległości 15 centymetrów (6 cali); rozwija się bardzo szybko. Często ścieżki pomiędzy grzędami grochu obsiewają się zrzadka sałatą listkową, dla zużytkowania miejsca, ponieważ po kilku tygodniach następuje już jej sprzęt i miejsce pozostaje wolne. Do siewu zaleca się odmiana żółta, kędzierzawa.

Szpinak stanowi zdrową

Doświadczenie chemiczne.



Urządzenie za pomocą łatwych środków filtru tak często potrzebnego do usunięcia osadu, jaki się wytwarza w płynach, niejednokrotnie przydać się może, podajemy więc najprostszy do tego sposób. Na kubeczek większych rozmiarów, jaki widzimy na rycinie, kładzie się grubą bibułę, złożoną we dwoje, wciska ją się mocno w głąb kubeczka, tak, aby po bokach pozostały dość duże brzegi i następnie nalewa potrochu płyn, który mamy zamiar przefiltrować. Płyn będzie ściekał do kubeczka czystemi kroplami, zupełnie wolnemi od osadu, który bibuła zatrzyma. Na próbę filtrowania takiego wziąść możemy rozpuszczony chlorek potasu, który przedstawia płyn przezroczysty, jasno-żółtego koloru. Jeżeli dolejemy do niego drobną ilość octanu ołowiu również rozpuszczonego, wtedy natychmiast prawie otrzymamy w płynie osad ciemno-żółty, gęsty, ziarnisty chlorku ołowiu nierozpuszczonego. Filtr nasz wystarczy, by takowy oddzielić z płynu całkowicie.

i łatwą do uprawy jarzynę. Chcąc mieć szpinak do użytku kuchennego w początkach lata, trzeba na wiosnę, w Marcu i Kwietniu, zasiać t. zw. letni szpinak w rzędy odległe na 15 centymetrów (6 cali), albo na bardzo silnym gruncie rzutowo, byle nie zbyt gęsto, gdyż w takim razie szpinak w gorącej porze łatwo osadza nasienie. Na użytek w ciągu zimy lub na początku wiosny, szpinak się zasiewa w końcu Sierpnia lub na początku Września. Szpinak obficie podlewany wodą i płynnym nawozem (gnojówką) wykształca wielkie liście. Z odmian szpinaku zaleca się na lato okrągłolistny, z gładkiem okrągławem nasieniem i długolistny ze spiczastem ziarnem, wytrzymalszy na zimę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Roboty wiosenne przy pszczołach.

Na wiosnę giną roje, albo z głodu, gdy przez zimę wszystek miód zjedzą, albo gdy są słabe, a mocniejsze napadają na nie i niszczą. Ta ostatnia klęska dla słabego roju może nastąpić wtedy, gdy w ulach są za duże wyloty i szpary, albo nawet gdy mała garstka pszczół w ulu siedzi na dużych gniazdach.

Gdy pszczoły są głodne, należy je natychmiast podkarmić, a gdy są słabe, trzeba wyloty zmniejszyć, szpary pozalepiać, a plastry po nieżywych już pszczołach uprzątnąć z ula do czysta. Skoro tylko ciepło pozwoli, najpierw należy się wziąść do pooczyszczania roi ze śmieci, które zwykle na dnie ula zagniwają i zanieczyszczają pszczołom powietrze.

W ulach ramowych Lewickiego można oczyszczać roje nawet wtedy, gdy jeszcze jest zimno; należy tylko uchylić drzwiczki w oszklonym zatworze, wysunąć podkarmiaczkę i śmieci wygarniać skrobaczką.

Skoro tylko tę czynność załatwimy, trzeba natychmiast ul zamknąć i ciepło okryć, by chłód nie przeszkadzał pszczołom pielęgnować czerwiu. Ale tylko w ramowych ulach p. Lewickiego można oczyszczać pszczoły, gdy na dworze chłodno, w innych zaś, trzeba czekać, aż pszczoły choć raz wylecą z ula.

Nie należy spóźniać się z podrzynaniem gniazd, o ile takowe pozostały za długie z jesieni. Spieszyć się z tem należy, bo silne pszczoły, mające dużo miodu w głowie ula, spiesznie zakładają czerwiem puste dolne plastry, a wtedy podrzynać ich nie można, już i miód przez to podebrać trudno.

Gdy plastry w ulu są powalane, gdy pszczoły wyją żałosnym głosem, skoro otwieramy ul, wtedy jest widocznem, że rój nie ma matki.

W takim razie, gdy pszczoły jeszcze dobrze nie obleciały się, najlepiej też roje pokasować, a to przez przyłączenie ich do innych rojów; zostaną one tam i nie powrócą nazad do swego dawnego miejsca.

Opatrując ul i układając gniazdo, należy się przypatrywać czerwiowi: czy jest zdrowy i równo ułożony. Skoro między czerwiem pszczelim znajduje się gdzieniegdzie czerw garbaty, trutniowy, toby oznaczał, że matka jest wadliwą; gdy czerw przedstawia się na plastrze pstrokato, t. j. komórki puste i zawierające czerw różnego wieku pomięszane ze sobą, to oznacza początek zgnilca. Z takiego ula trzeba wyjąć wszystką zakażoną woszczyznę, odłożyć ją osobno, a pszczół nie łączyć z innemi, żeby nie rozszerzały choroby w pasiece.

Skończywszy to porządkowanie z wszelką ostrożnością, aby matki nie zagnieść, można już zamknąć ul, obetkać go jak najcieplej i zostawić otwartym tylko jeden wylot. Szerokość wylotu powinna być taką, jak tego potrzebują pszczoły: jeśli wylatują z ula po dwie razem i wlatują również po dwie, wtedy wylot ma być szeroki na 4 pszczoły. Później stopniowo można go rozszerzać, w miarę tego, jak pszczoły wychodzą.

Rozmaitości.

*** Profesor dr. Nehring.** Jak gazety donoszą, został profesor dr. Nehring z Wrocławia mianowany niedawno tajnym radzcą rejencyjnym. Cieszy nas, że zasługi uczonego Polaka i w najwyższych kołach rządowych zostały uwzględnione. Na wszechnicy wrocławskiej istnieje osobna profesura dla literatury i języków słowiańskich. Już przed rokiem 1848 występował tam sławny Czech, profesor dr. Czelakowsky, u którego kształcili się liczni akademicy w języku ojczystym. Dzisiaj Władysław Nehring zajmuje tę ważną posadę, jedyną na Szląsku, gdzie wolno uczyć jeszcze języka i literatury polskiej. Lecz według przepisów zwierzchności o polskiej gramatyce lub literaturze musi mieć pan profesor wykłady po niemiecku, chociaż Polak i wyłącznie ma polskich słuchaczów. Profesor Nehring, który liczy 62 lata, powszechnie jest szanowany tak przez uczonych polskich jak przez profesorów niemieckich. Ostatni wybrali go przed kilku laty dziekanem wydziału filologicznego. Jego prace wszędzie znalazły uznanie i pochwałę. Oprócz kilku mniejszych rozpraw wydał po polsku znakomitą historyą literatury polskiej i był współredaktorem uczonego pisma »Slavisches Archiv.« Profesor Nehring ogłosił także niektóre powszechnie zajmujące odczyty o starożytnościach szląskich, nazwach miejscowych, narzeczu ludowem i t. d. Przez dłuższy czas był kuratorem »Towarzystwa literacko-słowiańskiego« przy uniwersytecie wrocławskim. Jako członek »Akademii Umiejętności« w Krakowie i innych naukowych towarzystw pośredniczył często między uczonymi polskimi i niemieckimi i nie mało przyczynił się do tego, aby w świecie naukowym zapanowało lepsze pojęcie o dziejach i językach słowiańskich.

J. Piast.

*** Zadziwiająca chytrość kaczora, a bohaterstwo wróbla.** Było to z wiosną 1870 r. Zabierałem się do budowli i miałem w tym celu pociosany budulec ku wysychaniu, poukładany w warstwy na podwórku. Właśnie siadałem do śniadania, gdym spostrzegł, że kilka wróbli usiadło na brzegu belki górnej warstwy i chciwem okiem spozierały na żer, porzucony dla drobiu. Lecz zarazem podpadało mi, że kaczor z lśniącemi zielonemi piórkami na czubku skwapliwie biegał pod oną belkę i łebek tak na bok nachylił, jakoby nad sobą będące wróble śledził. Przyszła mi myśl o zazdrości kaczora, lecz w tem spostrzegłem, że kaczor — dawszy niespodzianie susa w górę — zdołał schwycić wróblicę w swój szeroki dziób i silnie zdobyczą wstrząsnął, gdy tymczasem inne wróble z przeraźliwym krzykiem wzleciały na obok stojącą wiśnię. Wybiegłem co tchu, aby wróbla od przemocy ubronić. Lecz jakże się zdziwiłem, widząc jak tymczasem wróbel się był z wiśni wprost na czubek kaczora spuścił i małym swym dziobem łebek tegoż obrabiał. Kaczor

jeszcze raz silnie swą zdobyczą wstrząsnął i zgruchotaną odrzucił. Teraz nastąpiła scena, z której trzeba było i śmiać się i płakać. Kaczor bowiem — wydając niezwykły głos — biegał z nachyloną główką od jednej kaczki do drugiej, i zdawał się chełpić z bohaterskiego czynu swego; a wróbel — siadłszy na wiśni — nucił pieśń tak żałośną i tkliwą, jak w mem życiu wróbla nucącego jeszcze nie słyszałem. *P. z Sk.*

* **Lekarstwa dla dzikich zwierząt.** Państwa lub miasta, utrzymujące wielkie ogrody zoologiczne (zwierzyńce), wydają wiele pieniędzy na lekarstwa dla dzikich zwierząt. Lwy, tygrysy, słonie, podlegają tak częstym chorobom, jak niemowlęta. Urodzone w ciepłych klimatach, nie mogą się oswoić z temperaturą strefy umiarkowanej. Słoniom często bardzo dokucza katar, na który najskuteczniejszym środkiem jest — waza gorącego ponczu. Olbrzymie zwierzę przełyka jednym haustem pięć litrów mocnego płynu, a w razie potrzeby zażywa całe wiadro oleju rycynowego. Lwy bardzo są na chłód wrażliwe, to też zapadają często na choroby płuc i reumatyzmy. Pomaga im, tak jak i ludziom mleko, chinina, arak, lecz w dozach stokroć silniejszych. W pewnej menażeryi lew cierpiał na zęby; ma się rozumieć, żaden z dentystów podjąć się wyrwania chorego zęba nie chciał, musiano związać dziką bestyę powrozami, paszczę jej zakneblować, poczem jeden z dozórców wyciągnął ząb olbrzymiemi szczypcami. — Niepodobna byłoby wyliczyć całej listy przeróżnych środków wewnętrznych, używanych dla podtrzymania zdrowia i życia zwierząt menażeryjnych; dość będzie powiedzieć, że rachunki z aptekarzem są zawsze najdłuższe.

* **Statystyka kościelna.** W dyecezyi wrocławskiej było w przeszłym roku w 97 dekanatach 865 kościołów parafialnych, a 474 kościoły filialne; 853 proboszczów i 189 kapelanów, w ogóle z profesorami, kanonikami i zakonnikami, 1197 księży, którzy mają 2,418,285 katolików do pastoracyi. Archidyecezya poznańska liczy 24 dekanaty, 340 kościołów parafialnych i 104 filialne, przy których jest 429 kapłanów i 797,836 wiernych. Archidyecezya gnieźnieńska ma 17 dekanatów, 209 kościołów parafialnych i 32 filialne, do których należy 208 księży i 342,700 wiernych. *X. N. N.*

ŻARTY.

Wielkiemu panu nie wszystkiego baczyć.

Ocieski kanclerz koronny dziwnie się o to gniewał, kto u jego stołu jedząc, obrus kiedy oplusnął. Panu Wolskiemu kasztelanowi czerskiemu trafiło się to, że jedząc u niego, oblał obrus; gospodarz, jako to był zwykł, okazał, że mu to nie miło. Co pan czerski obaczywszy kazał chłopcu swemu grosz na stół położyć, mówiąc: Niech to praczce dadzą, aby ten obrus wyprała.

Pewien wieśniak, który pewnemu profesorowi w Bydgoszczy drzewo przywiózł, patrzał ze zdziwieniem na mapę, wiszącą na ścianie i nie mógł odgadnąć, coby te różne kreski znaczyć miały. Na zapytanie jego wytłumaczył mu profesor, że to karta, na której są morza i wszystkie miasta i rzeki.

— A Berlin jest też! — zapytał chłopek.

— Jest — oto tu! — wskazał mu profesor.

— Ach, to niech wielmożny pan profesor będzie tak dobry i zajrzy, co tam mój syn robi, który jest we wojsku.

W chacie wieśniaka.

Maciej: O rety! rety! Krowę już sprzedałem, a o to głupie cielę, co mu Walek nogi przetrącił na swoim gruncie, nie mogę dojść do sprawiedliwości.

Pokątny doradzca: Już jeno dacie mi talara i potraktujecie dobrze, jakeście obiecali, Macieju, a ja wam teraz taką skargę wytnę, co w sądzie pomyślą, że Walek nie cielakowi, ale wam nogi połamał.

Na ulicy.

— No, cóż kontent pan jesteś z swojego spólnika?

— Tak sobie. Kiedyśmy zawarli spółkę, ja miałem pieniądze a on doświadczenie, a teraz jest przeciwnie…

— Aha! Pan masz doświadczenie a on pieniądze.

W szkole.

— Słuchajcie dzieci. Abym mógł poznać, co umiecie — róbcie tak. Jak będę na tablicę dodawał i dodam dobrze, to powiedzcie wszyscy: „prawda, panie nauczycielu.“ a jak dodam źle, to powiedzcie: „pan się omylił, panie nauczycielu!“ A więc zaczynam. Pięć a dwa jest siedm a dwa jest dziewięć. Piszę dziewięć, w głowie nie pozostało mi nic.

— Prawda, panie nauczycielu.

Na ulicy.

— Dlaczego żebrzesz?

— Bo chcę jeść.

— Pracuj.

— Jak pracuję, to mi się jeszcze więcej chce jeść.

Pocieszył go.

— Co tobie dolega? wyglądasz jak chodzące nieszczęście.

— Żona mi zachorowała i wątpię…

— A który lekarz ją leczy?

— Doktor X.

— No, no! nie masz czego się martwić. On to leczył moję nieboszczkę żonę.

Sędzia (do oskarżonego): Zdaje mi się, że obracasz się w złem towarzystwie.

Oskarżony: Od lat dziesięciu, proszę pana sędziego, mam ciągłe stósunki z panami ze sądu.

Odpowiedź redakcyi.

P. L. R. Dziękujemy serdecznie i godząc się z chęcią na propozycyą, oczekujemy przesyłki jednego i drugiego.

P. M. S. „Ojcze! Odpuść im!“ odebraliśmy, nie wiemy, czy od samej autorki, czy przepisany przez kogo innego. Dla tego nie jasną nam jest rzeczą, czy wolno bez wszystkiego umieścić. Prosimy o słówko objaśnienia.

S. C. P. Użyjemy. Dziękujemy.

B. L. B. Skorzystamy i prosimy o nas nie zapominać. „Św.“ z I kw. wysłane.

Na okładce dzisiejszego numeru umieszczony jest „znak“, dowodzący, że „Światło“ na 2-gi kwartał zapisane zostało. Ten „znak“ prosimy odciąć i dołączyć do listu, w którym się rozwiązania zagadek z nagrodami przyśle.

Na pomnik śp. **Pawła Stalmacha** w Cieszynie złożyli: Wydawnictwo „Światła“ 10 m., Pan L. Radomski ze Śremu 3 m., N. z P. 1 m. Z Prus Zach. 1 m.; razem dotąd 15 m.

Prosimy o dalsze składki na pomnik tak zasłużonego szląskiego patryoty.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.